Nr. 2. Kołomyja dnia 25. lutego 1877. Rok I.

Wychodzi dwa razy na miesiąc 10. i 25. Przedpłata wynosi tak w miejscu jak i z przesyłką pocztową rocznie 5 złr., półrocznie 2 złr. 50 cnt., kwartalnie 1 złr. 30. cnt.

OGNIWO

Prenumeratę prosimy nadsyłać do Administracyi „OGNIWA,“ księgarnia H. Zadembskiego, gdzie się także znajduje skład główny dla prenumeratorów miejscowych.

dwutygodnik literacko-naukowy.

Wydawca: HENRYK MACHNICKI. Odpowiedzialny redaktor: STANISŁAW TOKARSKI.

KOŁOMYJA 25. LUTEGO 1877.

W każdém społeczeństwie, a tém samém i w każdym narodzie jest partya, nie tylko obojętna na wszelki postęp i rozwój cywilizacyjny, ale starająca się wszelkimi sposobami tamować takowy, wychodząc ze zasady przewrotnego konserwatyzmu, a mająca za motto status quo.

To co się w narodzie na większą skalę odbywa, u nas na prowincyi wprawdzie w miniaturowych kształtach, lecz tém potężniéj odczuwać się daje. Są ludzie, którym koniecznie się zdaje, że w ślady dziada i ojca wstępować powinni pomimo widocznie innych torów, na jakie ludzkość weszła i postępu, jaki w każdym kierunku uczyniła. Tradycya jest ich wiarą, wszelki zaś postęp mrzonką uczonych.

Na szczęście jednak po miastach mała się już liczba takich osobistości znajduje, rośnie natomiast prawie z dniem każdym apatya, wynikła z naszéj ogólnéj choroby, ubóstwa kraju; a obok niéj uprzedzenie i niedowiarstwo.

Nie wiedzą i wiedzieć niechcą ci wszyscy, że w pierwszym rzędzie wykształcenie przyczynia się do dobrobytu kraju, że nauka i wiedza są filarami, na których spoczywa szczęśliwe urządzenie społeczne, że z rozwojem umysłowym narodów rozwój moralny i materyalny iść musi w parze.

Nie wiedzą daléj ci wszyscy, że wszystko to, cośmy dotychczas zrobili, jest jeszcze małym objawem naszéj pracy wobec pracy innych narodów, które wzajemnie starają się prześcignąć w postępie i cywilizacyi. Spojrzmy na Niemcy, Francyę i Włochy, — potęga, dobrobyt, nauka i sztuka kwitną tam w całéj pełni, bo każda jednostka poczuwa się jako atom całego ciała i z prądem dziewiętnastego stulecia kroczy naprzód.

A u nas?

Nie wolno nam jednak przekraczać zakresu naszego pisma, a ostatecznie sprawa ta już nie raz omawianą była; chodzi nam tu głównie o to, by znikła już u nas raz na zawsze ta partya, która sobie wykształcenie lekceważy lub jest z pewném uprzedzeniem do wszelkiego postępu. Nie mówimy o ludzie naszym, bo tu potrzeba jeszcze pracy dziesiątek lat, by doczekać się rezultatów pozytywnych.

Baczmy tylko na jedno, a mianowicie na to, że wykształcenie jest probierczym kamieniem żywotności narodu, że z wykształceniem umysłowém dobrobyt kraju musi się podnieść, a siły nasze wystarczą do osiągnięcia tego celu; pozbędziemy się apatyi i uprzedzenia.

Wszakżeż wiemy, że rzemieślnik wykształcony umysłowo nie będzie się ograniczał na wyrabianiu przedmiotów podług formy i wzoru swego poprzednika, lecz idąc daléj, wykształcenie swoje potrafi zastósować do wyrobów, by idąc z wymaganiami czasu, mógł wytrzymać konkurencyą z zagranicą.

Wykształconemu rolnikowi, będzie wiadomo, jak może podnieść procent dochodu ze ziemi i w jaki sposób otrzymać najlepszy owoc swéj pracy.

Czyż nie dość tych dwu przykładów, powtarzanych tyle razy, by umotywować to, cośmy poprzednio powiedzieli?

Szukajmy nauki raczéj niż bogactwa, bo nauka sama jest bogactwem; kształćmy wszyscy nasze dzieci, a przyszłość pokaże, o ile się nasza wartość moralna i materyalna podniesie.

POKREWNI CELEM

powieść współczesna

przez

W. A. I.

(Ciąg dalszy).

Prawie na samym końcu wsi, a o ćwierć mili od karczmy stał dwór. Wieśniacy jednak z Zaborza (tak się nazywała wieś p. Adama) i cała okolica nazywała go pałacem. Czy domek ten jednopiętrowy w szwajcarskim guście, z gankiem o dwu drewnianych słupach i maleńką werandą zasługiwał na nazwę pałacu, zapytać potrzebaby architekta, z którego się myśli wyłonił jeszcze przed trzydziestu laty. Nową jednak sukienką, w którą stare kształty przyozdobiono, jaśniał z daleka, a z bliska dość schludnie i pokaźnie wyglądał.

Do niedawna jeszcze obdrapane ściany, pochylone słupy gankowe i obrosły mchem dach świadczyły o zupełném zaniedbaniu w zewnętrznéj formie gniazda Przewrotnickich. Pan Adam jednak po powrocie z zagranicy z całą energią rozpoczął walkę z nieubłaganymi śladami czasu. Przez cały miesiąc ruch na dziedzińcu pałacowym był ogromny. Dach pobito nowemi gontami, stare słupy gankowe zastąpiono nowemi, bielono ściany, myto i lakierowano ramy u okien, a nawet dobudowano od strony ogrodowéj werandę. Pan Adam sam kierował wszystkiém, sam zaglądał w każdy ką-

cik, a nawet podczas tego odradzania się pałacu, prosił matkę, która zamieszkiwała pokoje na piętrze, by się przeniosła do oficyn. Z niemałym trudem udało mu się w końcu doprowadzić cały akt odrodzenia do skutku, powtarzamy z niemałym trudem, a to dla tego, bo przedsięwziął był reformę i wewnątrz pałacu, w której to kwestyi po wielu dopiero walkach udało mu się pozyskać matkę. Rozchodziło się tutaj o nowe umeblowanie, któremu pani Przewrotnicka z dwu względów była przeciwna: raz, że przyzwyczajoną była do swoich fotelów i sofek, a powtóre, że potrzeba było wydać ze dwa tysiące guldenów na tę zachciankę syna. Pan Adam jednak zwyciężył. Sprowadzono nowe meble i lustra, matka zapłaciła, a stare poszły przypominać sobie lepsze czasy i lepszych ludzi, częścią na strych do oficyn, częścią zaś do wozowni.

Dzieło więc było skończone. Pani Przewrotnicka zajęła znów pokoje na piętrze, pan Adam zaś parterowe.

— Wreszcie, rzekł sam do siebie pan Adam pierwszego popołudnia w nowourządzonym pałacu — wreszcie zaczynam kroczyć do celu. Pierwszy krok już postawiony, a tym krokiem są środki, które mię mają doprowadzić do punktu kulminacyjnego życia. Daléj więc odważnie i ostrożnie jak przed bitwą.

I począł wyjeżdżać z wizytami bliżéj i daléj, przyjmować u siebie i żyć w całéj pełni. Często z okien parterowych pałacu w Zaborzu po cztéry i pięć dni żadne się światło nie przebijało i tylko blady promień księżyca ciekawie wdzierał się do wnętrza zdziwiony, że niema téj strugi światła, która bijąc z okien przed kilkoma dniami, kłóciła się z nim o pierwszeństwo.

I dzisiaj ciemno w oknach parterowych; gdzie pan Adam — wiemy. Od karczmy w cichy wieczór dolatuje turkot szybko pędzącego powozu. Coraz bliżéj i wyraźniéj słychać tętent koni, coraz słabsze ujadanie psów dolatuje ze wsi, chwila jeszcze — a przed gankiem pałacowym wysiedli z powozu pan Adam, a za nim Berko.

Pokojowiec przebrany w liberyę (bo i o tém nie zapomiał właściciel Zaborza) stał już na ganku.

— Światła do gabinetu! rzekł pan Adam wstępując do przedpokoju.

Janko pociągnął za dzwonek, a prawie równocześnie otworzyły się drzwi po prawéj stronie i stary kamerdyner Bazyli wszedł z lampą.

— Do gabinetu, powtórzył pan Adam rzucając palto jesienne.

Bazyli posunął naprzód, za nim pan Adam, a na ostatku nie śmiało, rozglądający się do koła Berko.

Gabinet leżał wprost drzwi wchodowych z ganku. Było tam biórko, garnitur mebli ceratowych, szafa z książkami, kilka olejnych druków; nie było zaś może najważniejszéj rzeczy, bo okna. Gabinet ten bowiem leżał w samém sercu pomieszkania parterowego. Z przodu miał przed sobą przedpokój, z tyłu dość obszerną salkę z wychodem na ogród, po prawéj zaś i po lewéj stronie cztery pokoje.

Jaki interes miał pierwotny twórca planu w utworzeniu tego ciemnego pokoiku, przeistoczonego obecnie na gabinet, trudno odgadnąć. Dość, że tak w dzień jak i w nocy panowały tam egipskie ciemności, rozpraszane chwilowymi błyskami lampy. Powtarzamy chwilowymi, bo pan Adam rzadko w nim kiedy przesiadywał.

Gdy więc Bazyli postawił lampę na stoliku, a sam z rozkazu zrobił odwrót do przedpokoju, pan Adam zwrócił się do Berka.

Berko stał i patrzał przed siebie.

— Siadaj i mów Berku, rzekł pan Adam.

— Co mam mówić, wyszeptał zagadnięty.

— Byłeś w Rublu?

— Byłem.

— I cóż? zapytał pan Adam zapalając cygaro.

— Hm! rzekł Berko gładząc swą rudą brodę, pan Dumski kazał pokłonić się panu.

Pan Adam żachnął się, tupnął nogą, syknął powoli.

— Nie o to pytam.

— Niech się jaśny pan nie gniewa, przemówił Berko, ale ja nie wiem o co.

— O pannę Zofię.

— Panna Zofia jak zawsze ładna i wesoła.

— Pytała się o mnie?

— Czemu nie. Ja jéj musiał nawet mówić, jak pan sobie skupował meble, co one kosztowały, czy ładne, choć ich nie widziałem.

— Cóż daléj?

— A nic. Panna Zofia słuchała, trochę się śmiała, nadszedł jegomość i już po wszystkiém. Ale niech jasny pan daruje, dodał po chwili Berko, mnie się zdaje, że tu najważniejsza rzecz, co myśli sam jegomość ojciec. Jak on będzie myślał inaczéj od pana — to źle.

Pan Adam się zamyślił, usiadł na kanapie, sparł głowę na ręku i szepnął:

— Z nim będzie trudno.

— Nie tak jak panu się zdaje, dodał Berko!

Pan Adam podniósł głowę, spojrzał na Berka długo i przeciągle; a w tém jakby mu myśl jaka szczęśliwa strzeliła, zerwał się i zawołał:

— A pieniądze masz?

— Czemu nie, rzekł Berko niby z jałowym uśmiechem.

— Wiele?

— Pięć tysięcy od Goldera na pół roku.

— Znowu od Goldera?

— Co pan chce, to najporządniejszy Geszefcman i ma także wieś.

— Wolałbym skądinąd, to lichwiarz.

— Broń Boże! trzydzieści od sta to pan dzisiaj i w banku zapłaci, a co kłopotów, a jak długo trzeba czekać. Golder wié komu pożyczać na tak mały procent. Interes robi interes, panna Zofia.....

— Cicho, przerwał pan Adam.

— Niech będzie i tak, rzekł śmiejąc się Berko i wyciągając pulares, na co ja mam mówić, pan sam wié najlepiéj.

Nastąpił teraz akt, który nazywa się pożyczką, wskład którego wchodzą weksle, procenta i dobrze jeźli tylko półgodzinna utarczka co do wysokości ostatnich.

Pan Adam widocznie w czepku się urodził, bo po pięciu już minutach owe pięć tysięcy leżały w jego biórku, a Berko chował weksel w miejsce wyjętych pieniędzy.

— A teraz sza o tém, cośmy tu mówili, sza o pożyczce; wszak umiesz milczeć?

— Będę mówił tylko wtenczas, kiedy mi jasny pan pozwoli, odpowiedział Berko.

Pan Adam zadzwonił, wszedł Janko.

— Powóz dla pana Berka.

— Dziękuję, rzekł kłaniając się znowu Berko.

W kilku minut późniéj p. Adam poszedł na górę do matki, a Berko siedząc w powozie, uśmiechał się i mruczał, dla nas jednak niezrozumiale. (C. d. n.)

Do . . . . . .

Wyleciało z gniazdka ptasze,
Wątłe, drobne, ale nasze;
Swojską pieśnią zaśpiewało,
Świat rodzinny pożegnało.

W kraj skalisty na wybrzeże,
Słabym lotem podążyło,
Łezkę żalu w sercu skryło
Z niéj urosną jéj puklerze
Na pociski gorzkich losów,
Na ponętę słodkich głosów.

Leć ptaszyno! Słabe skrzydła
Wzmocnij z gniazdka wspomnień siłą,
Leć, a bacz na wrogie sidła,
I nie spocznij aż z mogiłą.

Przyszłość Twoja jest tułacza,
Lecz wybrańcom tylko życia
Od samego już powicia
Kielich gorzki Bóg przeznacza;
By cierpieniem przykład dali,
Prawdą życia nauczali.

Bój rozkoszą niech Ci będzie,
Miłość jedną prawdą wszędzie;
Gdy Cię ostry grot przeszyje,
Wiedz, że bolem wiara żyje.

Wierz, że śmierć to zmartwychwstanie,
Po za którą duch Twój czysty,
Raz przyszedłszy w świat wieczysty,
Wtajemniczon weń zostanie.
Siłą ducha więc na boje,
Leć z nadzieją ptasze moje.

Lwów w czerwcu 1875.

Kostka.

KAPLICA.

(Z Ulanda).

W ciszy stoi tam kaplica,
Z góry szczytu patrzy w dół:
W dole łączka i krynica,
Przy niéj chłopiec pieśni snuł.

Smutno dzwonka tętnią dźwięki,
Pieśń grobowa dziko brzmi —
Chłopiec przerwał swe piosenki,
Chłopcze, chłopcze, co to ci?!

W górze teraz smutne gody
Tym, co radość mieli tu —
Tam i tobie chłopcze młody
Do wiecznego zabrzmią snu!

Stanisław Ryś.

Pogląd na życie i pisma

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

napisał

WINCENTY STROKA.

(Ciąg dalszy).

Nieboska Komedya nie jest utworem ściśle scenicznym i poeta nie przeznaczał go też do przedstawienia na scenie. Pomimo to jest w nim wiele ruchu i siły dramatycznéj, a treść tak obfita, że starczyłoby jéj na więcéj nawet dramatów. Utwór ten napisany prześliczną prozą poetyczną, dzieli się na cztéry dialogowane części, z których każdą poprzedza krótki wstęp opisowy, mający przygotować nas do tego, co poeta w następującéj po nim części przedstawia. Pomysł całości jest tego rodzaju, że przed Krasińskim żaden poeta na ziemi na pomysł taki się nie zdobył. Bo jeżeli inni poeci do utworów swych czerpią przedmioty ze świata obecnego lub z przeszłości, to przedmiotem Nieboskiéj Komedyi jest to, co według widzenia autora w przyszłości dopiero ma nastąpić. Jest to zatém dramat proroczy, malujący nam w dosadnych barwach przyszłe losy europejskiego społeczeństwa — i z tego to powodu Adam Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiéj nazwał go słusznie dramatem przyszłości.

Patrząc bezstronnie na stan społeczeństwa naszego i obejmując ogólnym poglądem całość wypadków, nietrudno nam nabyć tego smutnego przeświadczenia, że społeczeństwo ludzkie nie jest w stanie zupełnego zdrowia. Owszem każdy głębiéj patrzący przyznać to musi, że stoimy w epoce przejścia, w któréj ścierają się z sobą przeciwne prądy duchowe, a z któréj wyłonić się ma nowe doskonalsze życie.

Walka ta sprzecznych żywiołów odbywa się na wszystkich polach razem — polityczném, społeczném i religijném — a na każdém z nich walczą z sobą dwa wrogie sobie obozy — konserwatyzm i rewolucya. Pierwszy z nich odwołuje się do prawa historycznego, tradycyi rodowéj, własności osobistéj i religii naddziadów, będącéj wiarą w objawionego, w Trójcy jedynego Boga — druga, to jest rewolucya czerwona, usiłuje zaprzeczyć wszelkiemu prawu historycznemu, wszelkiéj własności i religii; wyrazem jéj na polu teoryi pogańska zasada siły przed prawem, komunizm, darwinizm, pozytywizm i bezwyznaniowość, przeczące Bogu i duchowéj istocie człowieka, głoszące równość społeczną i majątkową — usiłujące w praktyce zrealizować swe utopie i zniszczyć do tego rodzinę, ową podstawę wszelkiego rozwoju moralnego ludzkości.

Każdy pojmie, że takie żywioły, jak ogień z wodą pogodzić się nie dadzą — ale że między nimi do walki strasznéj, do walki na śmierć lub życie przyjść kiedyś musi. Walkę tę czuć prawie w powietrzu — pod ziemią nurtuje internacyonał, a krótkie dni władania komuny paryskiéj w r. 1871. dały nam poznać, jaka to burza straszliwa zawisła w przyszłości nad społeczeństwem europejskiém; zasady te bowiem krzewią się wszędzie, a przynajmniéj gorliwi ich i w środkach nieprzebierający apostołowie starają się o ich rozszérzenie — i w téj mierze podają sobie ręce socyaliści zachodu i moskiewscy nihiliści. Trzeszczą tedy posady gmachu społeczeństwa europejskiego; a stan ten czuł Krasiński już przed laty czterdziestu i widział w duchu te okropne, nieboskie sceny, które mają nastąpić. Przeniósł się tedy myślą w epokę owéj przyszłéj walki i przedstawił nam ją w całéj grozie ze wszystkimi jéj okropnymi szczegółami, wydając zarazem sąd o obu zapaśnikach. I po czyjéj że stronie staje Zygmunt w tym boju? On, magnat, arystokrata z rodu, potomek hetmanów i senatorów polskich, zapewne staje tutaj w obronie konserwatyzmu, w obronie przeszłości przeciw nowopowstającemu światu, przeciw téj niwelacyi społecznéj — jedném słowem przeciw rewolucyi nowoczesnéj?!

Myliłby się ten, ktoby tak sądził — zanadto wysoki to duch, ażeby w sądzie swym powodować się miał pochodzeniem lub uprzedzeniami rodowemi; jemu chodzi tylko o prawdę i dla tego potępić musi obydwa kierunki, bo oba są jednostronne.

Nie przeczy on, że pierwszy z nich bliższy jest prawdy; ale wytyka mu brak miłości, téj najwyższéj cnoty, bez któréj człowiek — jak mówi pismo św. — jest jako miédź brząkająca albo cymbał brzmiący; i dla tego to braku miłości, który objawił się w ciągu wieków w obec niższych warstw społeczeństwa, owa jedna strona walcząca upaść musi koniecznie, tak jak druga upaść dla tego, że dla niéj niebyło nic świętego, że w dumie swéj, acz widziała niepojęte dzieła Jego, zaprzeczyła Dawcy wszelkiego żywota i szczęścia.

Takie jest mniéj więcéj, ogólnie rzeczy biorąc, założenie Nieboskiéj Komedyi. Walkę tę wrogich żywiołów skrystalizował nam poeta w dwu olbrzymich postaciach hrabiego Henryka, reprezentanta arystokracyi i konserwatyzmu historycznego z jednéj, a Pankracego, wodza zbuntowanego ludu z drugiéj strony.

Hrabia Henryk jest to typ prawdziwego arystokraty z wszelkiemi zaletami i wadami swego rodu. Poeta, acz sam ciałem należał do tego stronnictwa, nie dosyć pochlebny sąd o niém wydaje zaraz na wstępie słowy służącemi za motto całemu poematowi: Do błędów nagromadzonych przez przodków dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń — i stało się zatém, że zniknęli z powierz-

chni ziemi i wielkie milczenie jest po nich.“ Chcąc jednak, ażeby sąd jego niebył jednostronny, obdarzył poeta swego bohatéra wszelkimi dobrymi przymiotami, jakie się pojedyńczo w stronnictwie jego znajdują; bo wtedy, jeżeli mimo tych wszystkich zalet osobistość jego potężna i dzielna nie ostoi się w obec prawdy wiekuistéj — tém samém potępione jest i całe jego stronnictwo złożone z mniéj dzielnych, mniéj dodatnich stron posiadających indywiduów.

Hrabia Henryk jest przeto pan całą gębą, dumny seciną przodków i ich zasługami; odważny, nieustraszony w boju, charakteru niezłomnego aż do uporu, pełen wiary w Boga i swoję szablę, lecz chciwy sławy i panowania; przytém człowiek wyższych popędów, który w młodości skłaniał się nawet ku zasadom liberalnym, ale stanowczo się ku nim nie umiał przechylić; nakoniec poeta, marzący o urojonym ideale, któremu codzienne życie nie może wystarczyć, bo nie umie kroczyć drogą obowiązku — fantasta szukający poezyi w urojeniu, zamiast coby jéj w sercu swém miał poszukać, coby sercem objąć miał świat i ludzi. I ten to brak miłości, to cenienie przedewszystkiém siebie i myśli swoich, jest główną winą Henryka, główną winą jego rodu, który w nim autor potępia.

W postaci Henryka osądzone jest przeto całe stronnictwo przezeń reprezentowane; jednakowoż wypada nam uważać go nie tylko jako typ ogólny, ale i oddzielnie jako indywiduum. Jest on w całém znaczeniu tego wyrazu głównym bohatérem poematu, a potężna osobistość jego łączy w jedność te rozliczne zdarzenia, które same przez się nie przypadałyby może do siebie, odnośnie do hrabiego Henryka jednak zdają się ściśle należeć do całości utworu. Zdarzenia te są bowiem w znacznéj części wypływem jego woli i działania; w innych zaś razach, tam gdzie wypadki porywają go z sobą, dają mu przynajmniéj sposobność do wszechstronnego rozwoju charakteru i objawienia wewnętrznéj jego istoty. Z tego względu widzimy w losie Henryka obraz zmarnowanego żywota, który zmarnował się dla tego, że bohatér nie umiał wyrzec się samolubstwa przeoczającego wszystko krom siebie, że zabrakło mu miłości i dobréj woli, bez czego najwyższy talent, najpiękniejsze przyrodzone przymioty ciała, rozumu i serca zmarnieć muszą nieochybnie.

Chcąc nam dać wszechstronny wizerunek bohatéra, przedstawia go poeta najprzód w życiu prywatném, którém zapełnia dwie pierwsze części swego utworu; potém w dwu następnych daje nam obraz jego działania na szérszéj arenie dziejowego żywota.

We wstępie, poprzedzającym część pierwszą, wypowiedziany jest surowy sąd o poetach, którzy nie będąc sami ideałami Piękna i Dobra, wcielają w słowa pierwowzory piękności wiekuistéj i świadczyć chcą słowami Bogu światłości, któremu przeczą nikczemnymi czynami swoimi. Słowa te — mogące mieć i ogólniejsze zastósowanie — ze względu na utwór w mowie będący uważać wypada za potępiający sąd, wyrzeczony na fałszywy kierunek poetyczny Henryka, który w tak jaskrawy sposób odsłania się nam zaraz w pierwszéj części poematu.

Właściwy dramat rozpoczyna się tém, czém zazwyczaj kończą się zwykle dramaty i powieści, to jest ślubem Henryka z Maryą, dziewicą łagodną, pełną miłości i poświęcenia, ale usposobieniem swém nie przypadającą do miary poetycznego nastroju męża. W akcie tym uroczystym, wiążącym do zgonu dwie istoty ludzkie, biorą udział i duchy niewidzialne. Anioł stróż, unosząc się nad kościołem, błogosławi nowemu związkowi i obiecuje nowożeńcowi szczęście i zbawienie, jeżeli dochowa przysięgi. Słowa jego dają nam oraz do zrozumienia, że dotychczasowe życie Henryka nie musiało być wolne od winy, że pierwotny związek duszy jego z niebem musiał już być zerwany, że jednak teraz łączność tę przywrócić ma nowe ogniwo, byle on tylko z własnéj winy ogniwa tego nie zerwał. Obok słów anioła odzywa się przeciwny mu chór złych duchów z pokusami wszelkiego rodzaju, które Henryka sprowadzić mają z drogi dopiero co zaprzysiężonego obowiązku.

Nowa ułudna miłość — sława, którą poeta orłem starym, wypchanym w piekle nazywa — i cały zwodniczy świat zjawisk, cała widoma rzeczywistość, kryjąca przed nami pod zmysłową powłoką prawdę istotną — oto sidła, któremi piekło po kolei otoczyć ma duszę Henryka.

W pierwszéj zaraz chwili po ślubie widać to jasno, że stadło nie będzie szczęśliwe, bo dobra i cicha, całém sercem kochająca go, ale prozaiczna żona niezadowolni poety, co sobie idealną jakąś wymarzył kochankę. I w tę to właśnie najsłabszą strunę duszy jego uderzają pokusy piekielne. Przez czartów wygnany z piekła duch jakiéjś staréj, nierządnéj grzesznicy, przelatując ponad cmentarzem, przyobleka się w widome kształty idealnéj piękności, zapożyczając ich od wszystkich spoczywających na cmentarzu dziewic — i w téj czarownéj postaci jawi się kilkakroć Henrykowi. Słabe serce nie mogło się oprzeć pokusie. A chociaż żona powiła mu ślicznego synka, choć serce rozdzierającemi słowy wyrzucała mu jego nieczułość, on jednak na wezwanie dziewicy, co mu się po raz trzeci śród gromów i dzikiéj muzyki akordów objawiła, niepomny zaprzysiężonéj wiary, porzuca dom, żonę i dziécię, pomimo zaklinań opuszczonéj, która nie zostając pod wpływem piekielnego czaru, widziała łachmany i trupi szkielet tam, gdzie on widział wdzięki i gwiazdy.

Po jego odejściu żona popadła w dziwny stan odrętwienia. Była blada i nie przemówiła do nikogo, choć wiele ludzi zeszło się na chrzest syna. A kiedy przyszło do świętego obrzędu, położyła ręce na głowie dziecięcia i zanim ksiądz ochrzcił je na imię Jerzego Stanisława, ona błogosławiła go, ażeby był poetą i zyskał przez to dla siebie miłość, a dla niéj przebaczenie ojca.

Potém dodała przekleństwo, jeźli nie będzie poetą i zemdlała.

Mąż tymczasem idzie za wymarzoną dziewicą przez piękną okolicę, przez lasy i wzgórza, pozostawiwszy z dala za sobą świat ludzi i stanął wreszcie na urwisku skały, otoczony gęstemi chmur kłębami śród wiatrów huczących przeraźliwie. Dziewica niknie mu w oddaleniu, jéj wdzięki przed jego oczyma rozwiewają się w nicość i on widzi teraz, że stał się igraszką szatanów, których głosy, szydzące z jego upadku i bezsilności i radujące się już zgubą jego, odzywają się do koła. W téj strasznéj chwili jednak, kiedy burza kręciła się wiry czarnymi, kiedy morze dobywając się na skały ciągnęło go ku sobie, a niewidoma siła, jakoby tłumu ludzi pchała go z tyłu ku otchłani — on westchnął raz jeden do Boga i oto pomoc znowu zesłana mu z góry; ponad morzem wzleciał anioł stróż jego uciszył bałwany i rzekł: „W téj chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta. Wracaj do domu i nie grzész więcéj — wracaj do domu i kochaj dziécię twoje“.

O żonie anioł nie wspomniał, bo żony nie było już w domu — próżne było pieszczotne nawoływanie: Maryo, Marysiu — nie odezwała się. Sługa tylko jeden powiedział; Niema pani w domu, odwieźli ją wczoraj, — a na pytanie gdzie? dodał uciekając: Do domu waryatów.

Kazał tedy hrabia okulbaczyć konia i z rozpaczą w sercu popędził do domu obłąkanych, by ujrzeć nieszczęśliwą przez niego żonę. Rzewna scena, która się tu odbywa, szczególniejsze znaczenie ma w architektonice dramatu. Dotąd występował Henryk w prywatném swojém pożyciu; w dalszych częściach dramatu ma on wystąpić na scenę dziejowego narodów żywota, a poeta dotknie tam nie już zagadnień serca i ducha jednostkowego, ale zagadnień dotyczących ogółu. Otóż zasady, które wstrząsają światem, mając w nim licznych swych reprezentantów, wyprowadza już tutaj poeta przed oczy nasze, kładąc je w usta różnym waryatom, których głosy z po za ścian, z pod podłogi, z nad sufitu dochodzą uszu hrabiego, bawiącego w celi swéj obłąkanéj żony. Pomysł to jenialny i bez wątpienia, kładąc zasady te (już to religijnéj, już politycznéj natury) najprzód w usta szalonym, wypowiada poeta, że poniekąd uważa je sam za szaleństwa w obec wiekuistéj prawdy Bożéj.

W dalszym ciągu téj sceny nieszczęśliwa żona objawia Henrykowi, że modliła się i pokutowała przez trzy dni, aby Bóg spuścił na nią ducha poezyi, a Bóg wysłuchał ją i stała się godną męża, bo potrafi wyśpiewać teraz wszystko — morze, gwiazdy, burzę, bitwę — potém dodaje:

> Nieskończoność mnie obleje,
> I jak ptak w nieskończoności
> Błękit skrzydłami rozwieję,

I lecąc rozemdleję,
W czarnéj nicości!

Rozpacz ogarnia męża widzącego ten stan żony, którego jest przyczyną; ciągle z za ścian odzywają się głosy waryatów, a ona w coraz to większe wpadając szaleństwo, obejmuje go, całuje w usta, mieniąc się szczęśliwą — opowiada mu, że syn jego będzie poetą, bo ona na chrzcie pierwsze imię dała mu poeta; nareszcie szaleństwo jéj przechodzi wszelką miarę i słabe ciało nie zniosło dłużéj téj ekstazy — umarła.

Na tém kończy się pierwsza część dramatu. Zerwane pierwsze ogniwo życia, podeptany pierwszy obowiązek, a zarazem zerwana jedna struna szczęścia dla czczéj chimery.

Zastanowić by nas tu mogło, dla czego Krasiński tak fantastycznie rzecz tę przedstawił, używając za narzędzie upadku Henryka jakiéjś powracającéj z piekła upiorzycy, kiedy tego samego i z tym samym skutkiem dokazać by mogła była jakaś zwykła, piękna, śmiertelna wietrznica. Na to zagadnienie możnaby odpowiedzieć najprzód, że znaczenie téj dziewicy jest więcéj symboliczne; jest ona niejako uosobieniem owych marzeń, owych urojeń, tak czarownych pozornie, które sprowadzić nas nieraz usiłują z drogi obowiązku, a które z bliska widziane, kiedyśmy rzuciwszy ciche, rzeczywiste szczęście, ulegli pokusie, okazują się nam dopiero w całéj swéj potwornéj, trupiéj nagości. — Prócz tego chciał poeta przez takie przedstawienie napiętnować zarazem stosunek tego rodzaju jako bezbożny, nieboski, szatański; gdyby był użył barw zwykłych, nie byłby może wzbudził w nas téj grozy, téj odrazy, jaką wzbudzić zamierzał, jak to widzimy na dziełach niektórych francuskich pisarzy, w których nie myśląc nawet o tém, z przyjemnością nieraz, bo pocukrowane trochę, połykamy największe nawet trucizny moralne, mogące skazić, czasem na zawsze, czyste, dziewicze serce niedoświadczonego czytelnika. Ponieważ Krasiński nie mógł mieć takowego zamiaru, przeto nie poprzestając na tém, że zgubne skutki z tego rodzaju stosunku wypływające przedstawił, wolał oraz rzecz nazwać bez ogródki właściwém imieniem i do dramatu swego diabła wprowadził bez maski. Prócz tego używając tego rodzaju przedstawienia, dał poeta oraz poznać głęboką wiarę swą w ścisły związek niewidomego świata duchów z światem widomym i wpływ ich na losy i działanie ludzi, wpływ niewidzialny, ukrywający się po za zmysłowe, zwyczajne nieraz zjawiska, ale przez to nie mniéj rzeczywisty. Wiara ta, tak sprzeczna z dzisiejszym, materyalnym kierunkiem umysłów i zapatrywaniem się na życie ludzkie i przyrodę, należy do istotnysh, charakterystycznych właściwości jeniuszu Krasińskiego i dla tego przy końcu rozprawy bliżéj jeszcze nad nią zastanowić się nam wypadnie.

Część druga Nieboskiéj Komedyi poświęcona jest przeważnie pozostałemu sierocie bez matki, małemu Orciowi, którego obraz kréśli nam poeta najprzód w poprzedzającym tę część wstępie opisowym. Było to dziécię niezwykłe postacią i usposobieniem, nieszukające rozrywki w zwyczajnych dziecinnych igraszkach, ale pomimo kilku dopiero przeżytych wiosen często zamyślone, opierające czoło na rączkach i błękitne oczka zwracające do nieba, jak gdyby rozmawiało z aniołkami, jak gdyby niepojęte dla drugich myśli płynęły doń z innego świata. To też każdy patrząc nań zawoła: „Jakie śliczne dziécię“ — a poeta powiada o nim na końcu tego ustępu: Gdyby kwiat, co więdnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby podobny do ciebie o dziécię moje; może takie bywały przed upadkiem Adama. —

Ziściła się tedy przepowiednia nieszczęśliwéj matki, bo dziécię było poetą na ukaranie ojca. Spotykamy ich dopiero po upływie lat dziesięciu od śmierci hrabiny modlących się na cmentarzu za duszę zmarłéj. Tu po raz pierwszy objawia się nam poetyczne usposobienie dziesięcioletniego chłopczyka, który różnymi poetycznymi dodatkami zmienia słowa modlitwy. Ojciec czując instynktowo, że te ziszczone życzenia nieboszczki żony przy wątłém zdrowiu dziécięcia mogą być dlań powodem nowéj boleści, stara się gasić te pierwsze iskry, z których gwałtowny pożar mógłby wybuchnąć — i każe modlić się synowi tak, jak go nauczono. Gdy Orcio jednak pomimo woli znowu w ten sam błąd wpada, ojciec gniewny, każe mu zaprzestać modlitwy, mówiąc, iż niepamięta matki, a przeto nie może jéj kochać. Wówczas chłopczyna oświadcza mu, że często, nim zaśnie, widuje mamę, która będąc bardzo bladą przemawia do niego i obiecuje mu w całym świecie przyrody i w świecie duchów wyższych i niższych zbierać dlań natchnienie, kształtów roje, dźwięki i promienie, ażeby był poetą i zyskał trwałą miłość ojca. Dalsze słowa dziécięcia, które oświadcza, iż i w téj chwili właśnie głos matki słyszy, wyrywają z serca Henryka bolesną modlitwę; błaga on Boga o litość nad niewinnym aniołkiem, którego ciało do pajęczyny podobne niewytrzyma natłoku myśli, lecz które lada myśl rozerwie.

Dalsze słowa téj modlitwy malują nam w krótkiém przypomnieniu tych dziesięć lat, które upłynęły pomiędzy śmiercią żony, a rzewną tę scenę cmentarną.

Od lat dziesięciu dnia spokojnego niemiałem, nasłałeś wiele ludzi na mnie, którzy mi szczęścia winszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów i przeczuciów i marzeń — łaska twoja na rozum spadła nie na serce moje — dozwól mi dziécię ukochać w pokoju i niechaj stanie mir już między Stwórcą i stworzonym.

Lecz nie ukoiło się serce w tém cichém szczęściu domowém — siła niepojęta pchała go naprzód — nowe ponęty, inne pokusy ma piekło dla męża, bo już młodzieńcze nie zwiodą po raz wtóry. Nową pokusą tą jest sława, która tyle serc zwodzi próżnym blaskiem. Pojmowanie to sławy, jako pokusy piekielnéj, piękne daje świadectwo Krasińskiemu, który nie czynił nic dla sławy, bo dzieła swe wydawał wszystkie bezimiennie, a zawód swój literacki uważał za spełnienie obowiązku w obec Boga i ojczyzny.

(C. d. n.)

Wycieczka do Monasteru.

(Ciąg dalszy).

Słońce przedzierało się przez siatkę zielonych gałęzi i oświecało, oblewało gorącém, płomienistém światłem tę tajemniczą córę pustyni.

Wprawdzie ona tu obecnie jest za nadto miniaturowych kształtów, lecz zawsze jest to grota i sama ta nazwa dodaje już jakiéjkolwiek miejscowości uroku, i znaczenia niepospolitości.

A tu nieopodal kaskada spadająca z głośnym szumem i burzą, rozpryskiwała się w tysiączne kryształy, świecące do słońca tęczowemi barwami. Zbierała się później w cieniuchną wstęgę i szemrząc tylko cicho, może podsłuchaną jąką pieśn słowików, wpadała do Dniestru.

Cudnie było tam wtedy, cudnie.

To też całe towarzystwo zebrane razem, w milczeniu przypatrywało się tym wszystkim cudom, w które ziemia nasza ukochana tak jest bogata.

Nie wszyscy jednak są tego zdania..... profanów pełno wszędzie.

Pan Otton, kawaler czerniowiecki, pełen szyku, lecz i fanfaronady, mieniący się być turystą, wprawdzie nie z musu, lecz i nie z powołania, z niejakiém politowaniem patrzał na rozpromienione twarzyczki panien; w końcu odezwał się: „Prawdziwie, że szkoda tego zachwytu....., wszak to wszystko jest prawie najpospolitsze pod słońcem, tak jak nasz kraj cały jest najpospolitszym krajem

na świecie. A ja, który ze szczytów Alp niebotycznych przypatrywałem się uroczéj włoskiéj ziemi i podziwiałem szafir południowego nieba, mogęż szczérze podziwiać to, co wcale piękném nie jest?“ „W saméj rzeczy,“ podraźniona do najwyższego stopnia, odezwała się panna Olimpia — „w saméj rzeczy, kuzynku Ottonie! pospolitym musi być kraj, który wydał tak pospolitego człowieka, jak ty nim jesteś. Człowiek, który gardzi ziemią rodzinną, nie wart zwać się jéj synem,

To rzekłszy śmiało i rezolutnie, zarumieniona zapałem, odwróciła się szybko i odeszła.

Kawaler wcale jednak zdawał się z konceptu niezbity, jął daléj popierać dowodami powyższe swoje zdanie co do kraju rodzinnego; przytém tak się rozgadał, rozentuzjazmował własną wymową, że prawił i prawił bez końca.

Opisywał przygody swoje w podróży za granicą, piękne widoki i całe krajobrazy, a nie żałował barw świetnych dla tych obcych piękności.

O jednéj tylko rzeczy zapomniał pan Otton, a rzecz była ważna dla opowiadającego, zapomniał popatrzyć się czy go kto słucha jeszcze.

Ostatni ryżowy kapelusz pana Z. mignął za krzakiem leszczyny w chwili, gdy nasz piękny panicz chciał się napoić wrażeniem sprawioném swojém opowiadaniem.

A!.... to było haniebnie..... Całe szanowne towarzystwo wyniosło się cichaczem na przeciwną stronę lasu, i różne tworząc partje, oglądajac to i owo, rwąc fiołki i niezabudki, rozmawiając wesoło, nie troszczyło się wcale o naszego bohatéra.

Lecz pan Otton, pomimo rozczarowania nader nie miłego, został na stanowisku. Wsparty o ścianę groty, oddawał się kontemplacyom, o czém jednak—nie wiadomo. Tymczasem w powietrzu, w naturze całéj, niebezpieczny rozgrywał się dramat.

Od strony zachodniéj, kędy się modra wstęga dniestrowa przewija, kłębiły się złowrogie chmury, i z każdą chwilą bliżéj i bliżéj zasłaniały horyzont.

Słońce skryło się prawie zupełnie, a błękit do połowy osłoniony chmurami, w drugiéj zaś części, sklepionéj nad głowami naszych znajomych, czysty i lazurowy, demonicznie piękną tworzył całość.

Pierwszy odgłos gromu zbudził naszego bohatéra z niemiłych dumań.

Przekonał się i o tém, że samotność jego jest zupełna, żaden bowiem głos nie dolatywał jego uszu.

Nasz bohatér żachnął się jak gdyby go tarantula ukąsiła.

Ambicya jego była do żywego podraźnioną.

Uderzenie piorunu wytrzeźwiło go trochę, wyruszył więc co żywo by odszukać zbiegów.

Nie znając jednak miejscowości, nie wiedział w którą udać się stronę, darł się więc po krzakach krwawiąc sobie twarz i ręce o ostre gałęzie głogu i dzikich róż.

Lecz nikogo, nikogo widać nie było.

Pan Otton musiał być w rozpaczy.

Tymczasem gwałtowna ulewa pierwszym strumieniem zimnéj wody bluznęła w twarz panu Ottonowi.

A i na razie bardzo w porę, pot bowiem kroplisty zrosił mu czoło i lica niemiłosiernie.

Elegancki kawaler zdjął jasne rękawiczki, co od wilgoci zmieniły się do niepoznania, i rzucił przed siebie.

Była to pierwsza ofiara.

Przystanął, obejrzał się do koła, lecz co za widok przerażający przedstawił się jego oczom.

Nad głową jego, całun chmur rozpięty wylewał całymi strumieniami wodę, Zaleszczyk wcale widać nie było, bo tonęły w białawym tumanie ulewy.

Tu i ówdzie szumiały brudne potoki porywające z sobą wszystko, cokolwiek na swojéj spotykały drodze.

Pan Otton zdawszy się na łaskę lub niełaskę żywiołów, ze stoicką prawie rezygnacyą brnął w swoich eleganckich lakierach po kolana prawie w rozmokłéj ziemi, która mu się z pod nóg usuwała.

Nareszcie poślizgnąwszy się upadł jak długi.

O horrendum!.... Kawaler czerniowiecki w błocie!; szczęście, że tu niema panny Olimpii, ona by go z pewnością nie pożałowała.

W chwilach stanowczych prędko następuje decyzja.

Pan Otton, zdecydował się natychmiast wracać do groty, zresztą do kaplicy lub przedsionka cerkwi, byle pod dach.

Odwrót tą razą pomimo przeszkód rozmaitych powiódł się.

Niedaleko od kaplicy stoi chata stróża cerkiewnego; do téj schował się nasz niefortunny turysta.

Powinien on był mieć się za szczęśliwego jeszcze, wybrnąwszy bez żadnego uszkodzenia z téj topieli.

Przemokłe suknie, utrata jasnych rękawiczek i lakierów nie wielkiém były nieszczęściem dla niego.

Nieszczęściem jednak była twarz podrapana.

To téż patrząc co chwilę do maleńkiego lusterka, co w ścianę wprawione zdobi izbę ubogą stróża, o mało co rąk nie łamał z rozpaczy.

Nie równie w przyjemniejszy sposób niespodziana nawalnica wpłynęła na losy reszty towarzystwa.

Rozprószeni wprawdzie na pierwszy odgłos piorunu znaleźli się prędko wszyscy razem.

Nie czekając zbliżającéj się katastrofy, panowie idąc z czynną pomocą paniom i panienkom, wkrótce ujrzeli się u rozkołysanych burzą fal dniestrowych. Szczęście im sprzyjało dzisiaj, bo aż dwa obszerne czółna stały uwiązane u brzegu.

Dwaj chłopi rybacy zjawili się niebawem z głębi lasu, i wnet całe towarzystwo pomimo lękliwości niektórych odbiło od brzegu.

Z zapartym oddechem zdając się na wolę Bożą. gdy czółna zanurzane po same krawędzie w wodzie lada chwila groziły wywróceniem, przybili do brzegu.

Odetchnięto swobodniéj i podziękowano Bogu, potém spiesząc do pierwszéj lepszej chaty starych Zaleszczyk, gościnne znaleźli przyjęcie.

Doktor biorąc w swoje ręce obie zlodowaciałe rączki panny Emilji, zapytał:

— A pani jakie wspomnienie i wrażenie zabierzesz ze sobą do Czerniowiec po téj niefortunnéj naszéj wycieczce?

— Dla czego nazywasz pan naszę wycieczkę niefortunną, wszak i życie nasze, aby przyjemne być mogło, musi być przeplatane burzą i spokojem, słońcem i chmurami.